

Wakacje pamiętnego 2002 roku. Jedziemy po raz pierwszy na rodzinny autotour do Chorwacji własnym autem, Skodą Felicją Kombi. Jest nas 5 osób, ja, żona, 5-letnia córka i mój brat z dziewczyną. Nie posiadamy klimatyzacji, ABS, czy szyberdachu, ale zamiast tego mamy zapakowane auto na maksa, śpiwory, materace, leżaki i namioty poprzywiązywane do relingów na dachu, w bagażniku plecaki, torby, sportowe akcesoria, zapas konserw, wody i chińskich zupek. Jedziemy kompletnie w ciemno na 2-3 tygodniową objazdówkę.

Droga przez Czechy się dłuży, dopiero na austriackich autostradach nadganiamy trochę czasu. Tankujemy LPG chyba na jedynej w Austrii stacji z tym paliwem niedaleko Graz. Przed nami Słowenia, gdzie przyszło nam nocować na parkingu. Wyłożyliśmy się na leżakach jak turyści na plaży, okrywając się śpiworami, jak gdyby nigdy nic. Ciepła noc otuliła nas do snu. Poranny, hałaśliwy stukot wyrwa nas z błogostanu. Okazuje się, że to kopanie, które dochodzi z przyczep wielkich tirów wiozących konie prawdopodobnie na rzeź. Konina to uznane mięso w krajach śródziemnomorskich, ale nam to nie jest do smaku.

Szybka toaleta, improwizowane śniadanie na ławkach i ruszamy w dalszą drogę. Widząc drogowskaz w kierunku Triestu decydujemy się trochę odbić z trasy na zachód, by zobaczyć chociaż to jedno włoskie miasto. Ciemnowłose, urodziwe, włoskie celniczki pytają nas o cigarety, ale mimo, iż informujemy je, że nikt z nas nie pali i nie mamy ani sztuki, lekko zdziwione, wpuszczają nas jednak do swego kraju. Podziwiamy panoramę na miasto z zatoki parkingowej na wzgórzu, tu po raz pierwszy też upajamy się widokiem na lazur Adriatyku.

Triest to spore miasto portowe, pełne pomników i zatłoczonych ulic. Wjazd do centrum to jednak koszmar. Przeważnie uliczki, zastawione po obu stronach rzędami aut i skuterów. Jazda pomiędzy nimi to nie lada wyczyn. Delikatne stuknięcie lusterkiem w któryś ze skuterów może spowodować runięcie dziesięciu kolejnych w efekcie domina. Jakimś cudem udaje nam się jednak dojechać do śródmieścia. Cały czas nas mijają miejscowi na skuterach, wszyscy w jednej ręce lub w ustach trzymających papierosa. Z tego wygodnego środka transportu korzystają osoby różnej płci i w różnym wieku. Niczym dziwnym nie wydaje się tu babcia na skuterze z cygaretem między zębami.

Po zrobieniu paru kółek przez miasto wracamy na naszą trasę w kierunku Chorwacji. Po przekroczeniu granicy widzimy stację LPG i chcemy na niej zatankować. Chyba zmęczeni upałem i jazdą w kółko po zatłoczonym Trieście nie dawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy na Słowenii, co nam uświadomił pracownik stacji. Acha...to jeszcze nie Chorwacja? No to w drogę. Jeszcze kilka kilometrów...

Kolejna granica przed nami. Tym razem dokładniej przyglądamy się

flagom, ale widzimy znów jedynie słoweńskie sztandary. Nasza mapa wskazuje jednak, że dalej powinna być już Chorwacja. Nie myli się. Po przejechaniu pasa międzygranicznego dostrzegamy chorwackie barwy. Wreszcie.

Przejeżdżamy przez Rijekę, mijając popularny, acz zatłoczony półwysep Istria. Zmierzamy na wyspę Krk, gdzie w Nijvicach zatrzymujemy się na pierwszy nocleg na chorwackiej ziemi. Bierzymy cały bungalow, bo na jedną noc nie chce nam się rozbijać namiotów. Wieczorny spacer po plaży i poranna kąpiel w morzu pozytywnie nas nastraja do dalszej drogi na południe w kierunku Vodice. Przejazd Jadranską Magistralą ze wspaniałymi widokami na Adriatyk z jednej strony i na skalne zbocza z drugiej, to niezapomniane przeżycie. Zaglądamy po trasie na krótko do Zadaru, wpadamy do Biogradu i za parę kilometrów jesteśmy w Vodicach. Niestety nie udaje nam się znaleźć nigdzie noclegu. Jedziemy więc dalej wzdłuż morza pytając o wolne miejsca dla 5 osób, ale dopiero w Tribunji znajdujemy przytulny pensjonat, który prowadzi niejaki Frane z żoną.

Zostajemy tu na kilka dni. Na miejscowej plaży jest niewielu turystów, woda jest przezroczysta i szafirowa, ale Frane twierdzi bez ogródek, że to syf. Dzięki uprzejmości gospodarza mamy możliwość przejażdżki jego starą łajbą na przepiękną małą wysepkę w pobliżu rezerwatu Kornati. Płyniemy wolno, ale nigdzie nam się nie spieszy. Upajamy się pogodą i morską bryzą. Podjadamy arbuza i melony popijając czerwonym, słabiutkim winem, którym częstuje nas kapitan. Dobijamy do celu. Faktycznie woda jest bez porównania piękniejsza od tej w miasteczku, w barwach szafirowo-malahitowych, z widocznością na kilkanaście metrów w głąb. Cała wyspa nasza. Trzeba jednak uważać na jeżowce, których jest tu bez liku. Większość czasu spędzamy na wylegiwaniu się na słońcu i snurkowaniu. Pod wodą widzimy mnóstwo kolorowych rybek, małą ośmiornicę, rozgwiazdy i oczywiście kolczaste jeżowce. Tu rodzi się moje marzenie o prawdziwym nurkowaniu...

Kolejną atrakcją jaką zafundował nam nasz sympatyczny gospodarz była kolacja z miejscowymi specjałami, głównie z porannego połowu. To z okazji moich urodzin, gdyż jako sierpniowy lew okazując paszport przy meldunku nasi gospodarze nie omieszkali zapamiętać kiedy jest mój jubileusz. To miłe, że pamiętali, obdarowując mnie prezentem w postaci puszki z figami w spirytusie, które postanowiłem zabrać do Polski. Teraz jednak przed nami wieczorna uczta. Z pewnym niepokojem zabierałem się do zupy rybnej, obawiając się pływających łusek, ale ku mojemu zdziwieniu smakowała wyśmienicie. Zarówno serwowane ryby, smażone figi, czy słodkie ciasto pani gospodyni pozwoliły nam posmakować śródziemnomorskiej kuchni.

Co ciekawe bez większych problemów udawało nam się porozumieć po polsku, bo chorwacki to słowiański język i wiele słów jest podobnych.

Zwłaszcza po figówce żaden tłumacz nie był potrzebny. Mogliśmy rozmawiać o wszystkim, byle by nie wspominać o ostatniej wojnie. Dodatkowa ufność Chorwatów do nas wynika chyba z faktu, że to katolicki kraj, co po doświadczeniach konfliktów zbrojnych sprzed kilkunastu lat, w dużej mierze na tle religijnym właśnie, nie jest bez znaczenia.

Moglibyśmy tam zostać dłużej, ale ciekawość ciągnęła nas na południe, do Dalmacji. Po kilku dniach wspaniałego wypoczynku w Tribunji i okolicach, ruszyliśmy dalej w kierunku Dubrownika. Między Vodicama i Sibenikiem podziwialiśmy kilku odważnych śmiałków, którzy skakali na bungie z wysokiego mostu. Wstąpiliśmy też do Splitu, w którym spacerując palmową promenadą poczuliśmy się jak w jakimś egzotycznym kurorcie. Zwiedziliśmy między innymi Pałac Dioklecjana z III wieku n.e., wdrapując się też na wysoką wieżę, z której rozpościera się wspaniały widok na miasto i nadmorską okolicę.

Po tej przyjemnej przerwie na zwiedzanie Splitu, wsiadamy znów do auta zmierzając przez Riwierę Makarską do Dubrownika. Jazda Jadranską Magistralą na tej trasie to już małe ekstremum, droga miejscami nie ma żadnych barier, które powinny odgradzać od stromych, nadmorskich urwisk. Jeden błąd i można zlecieć w dół. Co jakiś czas zatrzymujemy się by ochłonać i zachwycać się przepięknymi widokami. Zaglądamy też na wspaniałą plażę w samej Makarskiej, jednak chęć dotarcia jeszcze tego samego dnia do Dubrownika skłania nas do tego, by jechać dalej. Przejeżdżamy przez wąski odcinek nad Adriatykiem należący do Bośni i Hercegowiny z jedynym kurortem Neum. Dalej znów znajduje się terytorium Chorwacji z perłą Adriatyku, Dubrownikiem.

To starorzyskie miasto było świadkiem wielu wojen, ale zachowało swój dawny charakter obronnej warowni. Niestety największe zniszczenia pozostawiła po sobie ostatnia wojna na Bałkanach, podczas której serbskie wojska zbombardowały miasto niszcząc setki budynków. Widzieliśmy gruzy zabudowań, ślady na ścianach po pociskach i leje bomb w samym środku miasta. Mimo tego Dubrownik nadal jest wspaniałym miastem z unikalnym klimatem, którego starówka jest wpisana na listę UNESCO. Duże wrażenie robią na nas tamtejsze wąskie uliczki z kramikami i przytulne kafejki. To cel wycieczek wielu turystów z różnych stron świata. Miasto wygląda świetnie zwłaszcza z pobliskich wzgórz, skąd widać jego charakterystyczne położenie na cyplu nad zatoką. Z góry widać masywne obwarowania miejskie, czerwone połączenia dachów i liczne baszty.

Chcieliśmy znaleźć w Dubrowniku jakiś tani nocleg, ale ceny jak dla nas były zbyt wygórowane, dlatego zdecydowaliśmy się najbliżej kilka dni spędzić w pobliskiej Czarnogórze. Dojechaliśmy do Herceg Novi, położonej na nadmorskim wzgórzu. Niestety to specyficzne położenie miało swoje niedogodności, jak chociażby ciągłe łożenie po licznych

schodach, co już pierwszego dnia stało się dość męczące. Na dodatek miejska plaża była po prostu brudna. W piasku pełno było śmieci, papierów, petów, a w wodzie pływały plastikowe butelki i folie. Nie zachęcało nas to do kąpieli, zwłaszcza po niedawnych pozytywnych doznaniach pod tym względem na Chorwacji. Zamiast więc korzystać z uroków morza szwędaliśmy się po miasteczku, zwiedzając tamtejszą twierdzę, błądząc po pustawych uliczkach czy podziwiając widoki z okolicznych wzgórz.

Niestety Czarnogórcy z Herceg Novi sprawiali wrażenie smutnych i nieuprzejmych. Normą było nie wydawanie drobnych w sklepie, czy próby oszukiwania na cenie czy wadze. Wszędzie widać było też stragany, na których handlowało się czym popadnie, w tym mnóstwo pirackich płyt CD po 1 Euro. Nocą na całe miasteczko rozchodziła się muzyka w stylu arabskiego disco, co nas zaczęło trochę irytować. Nie wiem czy nie od tego czasem naszą córkę rozboleł nagle ząb i musieliśmy się udać do miejscowego wracza. Jedyne pseudodontysta urzędujący w mieście wyborował zęba córce bez żadnego znieczulenia i założył lekarstwo. Ale po przyjeździe do Polski okazało się, że to jakiś specyfik sprzed dziesiątek lat, niebezpieczny zwłaszcza dla dzieci, który dawno u nas został wycofany ze względu na niekorzystne efekty uboczne. Zgroza.

Chyba lepiej wracać na Chorwację. Kilka kolejnych dni spędziliśmy na świetnym kempingu Solaris koło Sibenika. Nasze namioty rozbiliśmy tuż koło nadmorskiego deptacza, dzięki czemu rankiem czuliśmy morską bryzę oraz widywaliśmy panie sprzątaczkę zbierające śmieci i zamiatające piasek z chodnika. Czysto i komfortowo. W toaletach pachniało, zawsze było mydełko w płynie i papier oraz oczywiście ciepła woda.

Pewnego ranka jednak przeżyliśmy małą konsternację, gdyż po wejściu do budynku z toaletami, panie sprzątaczkę słysząc mowę Słowackiego zaczęły nas bacznie obserwować. Delikatnie i z uśmiechem zapytałem czemu to ma służyć, na co one grzecznie wyjaśniły, że przed chwilą uzupełniały pojemniki z mydłem w płynie i będą nas pilnować czy ich nie opróżnimy do cna. Okazało się, że kilku z naszych rodaków wpadło na przedsiębiorczy, acz złodziejski pomysł zlewania do wiaderka owego płynu do mycia zaraz po ich porannym napełnieniu przez miłe panie. Sprzątaczkę zaczęły więc polować na nich i my byliśmy jednymi z podejrzanych. Na szczęście udało nam się odrzucić te oskarżenia, ale wstyd pozostał.

Na osłode wybraliśmy się do pobliskiego Parku Narodowego Krka położonego w Górach Dynarskich. Główną atrakcją Parku stanowi siedem wodospadów, z których największy Skradinski buk ma ponad 45 m. Kilkogodzinny spacer wśród wspaniałej przyrody, wzdłuż rzeczki, wodospadów i jezior to ciekawe oderwanie się od plaży i morza. Tak nam się tam spodobało, że zdecydowaliśmy się w drodze powrotnej do

Polski zajrzeć jeszcze do Parku Narodowego Plitvicke Jezera.

W drodze do tego wspaniałego cudu natury, przejeżdżaliśmy przez miejscowości w głębi kraju, w których widać było pozostałości minionej wojny. Smutne wrażenie sprawiały opuszczone, ostrzelane domy, klepocące się okiennice z fruującymi firankami, pojedynczy jakby jeszcze przerażeni ludzie.

Park Narodowy Plitwickie Jeziora w Chorwacji leży w środkowej części kraju ok. 140 kilometrów od Zagrzebia, niedaleko wschodniej granicy z Bośnią i Hercegowiną. Istnieje od 1949 roku, a jego największą atrakcją jest 16 jezior krasowych połączonych ze sobą licznymi wodospadami, których naliczono ok. 90. Kompleks Jezior Plitwickich tworzą dwa zespoły połączonych kaskadowo jezior, tzw. Górne i Dolne Jeziora. Pod jednym z okazałych wodospadów można się wykapać, czego nie mogliśmy sobie oczywiście odmówić. To jedno z niezapomnianych wrażeń z Chorwacji.

Ostatnią noc przed powrotem do Polski spędziliśmy na pobliskim kempingu pod namiotami. Niestety gdy wracaliśmy z Parku już po zmierzchu, zawadziliśmy o jakiś kamień i uszkodziliśmy tłumik. Nasze auto zaczęło strasznie pyrkotać. Przez resztę Chorwacji i na samej granicy wszyscy się za nami oglądali. Dopiero po słoweńskiej stronie znaleźliśmy warsztat, w którym udało się to naprawić. Mieliśmy jakieś resztki pieniędzy, więc mechanikowi zaoferowaliśmy słowacką śliwovicę, którą woziliśmy ze sobą na „czarną godzinę”. Sympatyczny, słoweński autonaprawiacz nie chciał jednak tknąć naszego trunku i sam zaoferował poczęstunek nalewki własnego wyrobu. Mocna rzecz.

W drodze do domu zwiedziliśmy jeszcze centrum Wiednia, ale widok sikających na ściany katedry Św. Stefana woźniców dostojnych dorożek, skutecznie nas zniechęcił do bliższego poznawania miasta. Pełni wrażeń, robiąc pierwsze podsumowania, jeszcze w trakcie jazdy przez Czechy postanowiliśmy, że koniecznie musimy kiedyś wrócić na Chorwację, może nawet następnego lata.